

Księga wyjścia – 3

26 marca 2019

Ballada o znajomych Goździkowej i bardzo dziwnej godzinie czternastej

To już ostatni raz, gdy piszę o nałogach, postaram się już omijać ten temat, chyba, że będzie to konieczne w jakimś kontekście. Po pierwsze, chyba powoli staję się już nudny i pewnie zmęczyliśmy się nim już wszyscy, a po drugie złapałem się na tym, że zachowuję się jak anonimowy alkoholik, który niby nie pije, ale bez przerwy myśli o niepicciu. Z uzależnienia od wódki przeszedł w równie groźne uzależnienie od pustej butelki.



W tym felietonie zamknę ten temat i zajmę się pisaniem o życiu i procesie trzeźwienia.

Od kiedy pamiętam zajmuję się pisaniem. Zanim pojawiły się pierwsze komputery pisałem na maszynie, nigdy ręcznie. Ten sposób był zarezerwowany jedynie do robienia notatek, skrótowych zapisów z wywiadów, wykładów, konferencji etc. W szpitalu, na oddziale detoksykacji, nie można posiadać laptopów, tabletów, telefonów ani żadnej rzeczy, która do

pisania jest. Wszystko zostaje w depozycie. Dlatego musiałem zmienić dotychczasowy system i narzędzia pracy i po raz pierwszy w życiu zacząłem pisać artykuły ręcznie. Przeżyłem szok, ponieważ technicznie wyglądało to tak, że mając mocno ograniczony czas i praktycznie żadnych luźnych notatek, musiałem przygotować i dopracować felieton od razu „na czysto” i przerzucić gotowy tekst na komputer. Potem umawiałem się z terapeutą i mogłem przepisywać w jego gabinecie. Ale nawet jeśli trafił się terapeuta, który nie ograniczał mi czasu pracy, to i tak panował tam ciągły ruch i harmider, wciąż ktoś o coś mnie pytał, czegoś ode mnie chciał. O jakiegokolwiek koncentracji mowy być nie mogło. Marzyłem, że gdy już wyjdę z detoksu, wrócę do domu, siadę do komputera i jak zawsze odpalę kompa, by dać się wchłonąć tworzeniu kolejnych zdań.

Na początku byłem mocno wkurzony tym ręcznym pisanem. Potem stało się obojętne, zacząłem nawet przywykać, aż w końcu polubiłem. Na tyle, że gdy już w domu siadłem przed monitorem by napisać kolejny felieton, włączyłem sprzęt i na widok pustego ekranu nie potrafiłem nawet zacząć. Pomyślałem, że wcześniej, to znaczy w szpitalu, było jakoś fajniej. Odszedłem więc od komputera, wziąłem zeszyt, długopis i momentalnie napisałem kolejny artykuł. Teraz także przepisuję z notesu i sprawia mi to cholerną frajdę. Dopiero teraz doceniłem formę ręcznego pisania. Chociaż mój charakter pisma jest taki, że sam miewałem niegdyś kłopoty z jego rozczytaniem.

To normalna cecha u nawróconych mańkutów. Urodziłem się leworęczny i gdy tylko matka zorientowała się, że posługuję się „nieprzepisową” ręką, zaczęła przywiązywać mi ją do tułowia, bym stał się normalnym, praworęcznym, niewyróżniającym z tłumu młodzieńcem, który robi karierę, podpisując prawą ręką ważne dokumenty. Takie były czasy, że mańkutów traktowano jak odmieńców. Poza bójkami po lekcjach. Tam lewa ręka bardzo się przydawała.

Efekt tego jest taki, że wprawdzie piszę prawą ręką, ale manualnie lewa jest sprawniejsza. Karierę szlag trafił, bo

półkule mózgowe mi się popieprzyły. Z tym niewyróżnianiem również nie wyszło i wciąż nie jestem stanie bez wahania odpowiedzieć, która strona to lewa, a która prawa. Zawsze muszę się chwilę zastanowić i spojrzeć na której ręce mam zegarek. Między innymi dlatego go noszę. Bywa, że gdy go nie mam, to mylę kierunki, nawet po zastanowieniu.

Miło było, ale się skończyło – wstęp mam na myśli, bo i tak już jest ciut przydługiej, a tematów trochę się uzbierało. Nawet niekoniecznie tych dotyczących trzeźwienia, bardziej uzależnienia, ale do rzeczy.

„Zdrowa” część społeczeństwa i ta trochę mniej „zdrowa” – czyli alkoholicy – zazwyczaj pogardzają narkomanami. Alkoholik w naszej kulturze jest jak najbardziej akceptowalną jednostką. Owszem, z lekkim defektem, ale zaraz pojawiają się głosy, no przecież każdy musi sobie czasami dziabnąć kielicha. Alkohol również społecznie usprawiedliwia agresję, wyrządzane krzywdy – bo przecież był dziabnięty i nikt już nie ma za złe wczorajszych wyczynów sąsiada. Może zweryfikuję trochę tę gradację uzależnień i uświadomię niektórym, że również mogą mieć problem. Zaczniemy od znajomych Goździkowej.

Pamiętacie tabletki z „krzyżykiem”, bardzo popularne wśród naszych babć, rodziców, wujków i cioć. Można było kupić je w każdym kiosku pamiętam jak jeszcze w latach osiemdziesiątych kupowałem w kiosku pod blokiem sąsiadce. Poprosiła mnie, bo głupio było jej po raz kolejny kupować, gdy już tego dnia ze dwa razy tam była.

Nasi dziadkowie i rodzice jedli je garściami (nie wszyscy, ale lek był bardzo popularny). Wynalezione jeszcze przed wojną przez polskiego farmaceutę, zawierały uzależniający i bardzo szkodliwy środek – Fenacetynę. Ludzie jedli je garściami, po kilka opakowań dziennie. Sprzedawano go wtedy pod nazwą „Kogutek”. Wynaleziony przez Adolfa Gąseckiego – nazywanego „polskim Noblem” stał się najpopularniejszym na rynku lekiem.

Gdy ci w głowie szumi wódka „Miro”,
masz ból głowy, zębów, grypę też,
przyjmij Kogutka, a wnet troski zginą,
więc po niego do apteki śpiesz.
Słynne są Kogutki Gąseckiego, zna je już wszędzie cały kraj.
Noś je wciąż przy sobie,
świetne są w chorobie,
proszek ten to życia raj.

Tak brzmiał fragment popularnej piosenki. Szeroka kampania reklamowa jawiła je jak cudowny środek na wszystko. „Szczęście, radość, humor w życiu i przede wszystkim zdrowie” – brzmiały reklamy w radiu, prasie i plakatach. Bardziej prawdziwe były słowa poety. Konstanty Ildefons Gałczyński, znany z wyjątkowej skłonności do uzależnień, w wierszu pt. „Muzie nóżki całuję” pisał:

„Kogutek” nie uleczy,
Przyjaciel nie pocieszy,
Uwierz mi.
Co pomoże?
A ja wiem: tu pomoże stary sen,
Stara bajda.

Po wojnie symbol kogucika zastąpił krzyżyk i ponownie rynek zalał on już nie tylko apteki, ale również zwykłe kioski ruchu czy sklepy spożywcze. Lek ten – ze względu na szkodliwość – został wycofany ze sprzedaży dopiero w latach pięćdziesiątych ubiegłego wieku. Nie ma lepszego klienta firmy farmaceutycznej jak nałogowiec, a że natura nie znosi próżni w miejsce ukrzyżowanego na dobre kogucika zstąpiła Goździkowa. Nikt nie prowadzi badań uzależnionych od tego leku, który poleca sąsiadka. Wiadomo natomiast, że Etopiryna przejęła rynek „tabletek z krzyżykiem”.

Ale OK. Dopóki nie determinuje to życia, nie wpływa na więzi rodzinne, to jest tylko i wyłącznie sprawą nałogowca, czy chce coś z tym zrobić, czy nie. Musi mieć jednak świadomość o tym w

co się władował. I że fachowo nazywa się to lekomanią – eufemizm narkomanii. Przypomina mi to trochę nadużywanie słowa „artefakt”, zwłaszcza przez archeologów. Fajnie jest komplikować język branżowy, by postronni czuli się idiotami (nie dotyczy dziennikarzy starej szkoły). Artefakt to synonim zwykłego przedmiotu, jakiejś zrobionej przez człowieka rzeczy typu papier toaletowy. Ale znaleziony przez badaczy średniowieczny nocnik nie zostanie nazwany przedmiotem, tylko artefaktem. Niby to samo, a o ile lepiej brzmi. Podobnie jest z uzależnieniami.

Alkoholicy gardzą ćpunami sądząc, że są kimś lepszym, bo zażywają legalny narkotyk, jakim jest alkohol. Konsumenci Etopiryny gardzą jednymi i drugimi – drugimi bardziej. Lekarz wie lepiej, bo był na sympozjum finansowanym przez firmę farmaceutyczną, uwierzył i stracił prawo wykonywania zawodu. Przedwojenny nocnik wierzy, że jest lepszy od papieru toaletowego, którego nikt nie nazwie artefaktem, choć zgodnie z definicją tego słowa papier toaletowy jak najbardziej zasługuje na to zaszczytne określenie.

Wracając jednak do naszej Goździkowej, której imienia chyba nikt nie zna Poczytałem trochę fora internetowe i okazuje się, że jej sugestia jest bardzo skuteczna. Zrozpaczone rodziny piszą: – zwłaszcza dzieci i wnuki miłośników Etopiryny, dla których stała się ona zamiennikiem „tabletki z krzyżykiem” – że ich rodzice i dziadkowie kupują po kilka opakowań dziennie, wydając skromne emerytury i już nawet na czynsz nie wystarcza.

Jeśli nie możecie zasnąć, lekarz zapisze tabletki, które – jak twierdzi – nie uzależniają, takie na bazie Zoplikonu. Jest ich cała masa, więc nie będę wymieniał. Działają dokładnie na te same receptory w mózgu co benzodiazepiny. Faktycznie, nie uzależniają tak szybko jak relanium, ale jednak. Pisałem już kiedyś, że podczas jednej z terapii był ze mną lekarz psychiatra, który się od nich uzależnił, ordynator opowiadał mi o innym lekarzu, który również uwierzył przedstawicielom medycznym, wziął udział w konferencji, dostał laptopa albo

markowy zegarek.

Podczas tej konferencji cała masa profesorów przekonywała, że lek ten nie uzależnia. Młody doktor wziął laptop lub zegarek, które hojnie przedstawiciele koncernu rozdawali, poznał nowych kolegów po fachu podczas wystawnej jakiejś kolacji w luksusowym hotelu i wrócił do swojej kliniki.

Skoro lek ten nie uzależnia, jak przekonywali profesorowie, a praca lekarza w klinice jest zmianowa, to by odespać nocną zmianę, lub przespać minimum pięć godzin przed kolejną nocką regulował to sobie właśnie Zoplikonem. Możliwość takiego regulowania w przypadku pracy zmianowej jest czymś bardzo cennym. Ponieważ jednak tolerancja na lek rosła, a jednak sen przed nocnym dyżurem był w jego mniemaniu ważny, zwiększał jego dawkę. Nie dało mu do myślenia gdy pojawiły się pierwsze kłopoty w pracy, a to zaspał, a to mimo tego, że wcześniej spał, to podczas dyżuru chodził nieprzytomny, nie pamiętał o czym rozmawiał z ordynatorem itp. W końcu łykał tabletki niezależnie od tego, czy miał spać czy też nie. I tak przestały działać, ale nie mógł się bez nich obyć. Gdy tracił prawo wykonywania zawodu, łykał już ich ponad czterysta w ciągu jednego dnia. Dobrze napisałem – czterysta, a nie czterdzieści. Zoplikon ma jedną zaletę, według producentów nie ma dawki śmiertelnej – pewnie dlatego wciąż żyje.

A przecież był mądrzejszy od Goździkowej i całej tej bandy degeneratów. Nie wiem, jak było z benzodiazepinami, które w jakimś stopniu zastąpiły mocno uzależniające barbiturany. Już chyba w Polsce jedynym barbituranem jest Luminal. Być może wtedy też różni profesorowie podczas prelekcji przekonywali, że benzodiazepiny nie uzależniają. Teraz opowiem Wam o głodzie przy odstawieniu benzodiazepin – Relanium, Clonazepam i tysiąca innych.

Wielu nałogowców jest już tak zmęczonych braniem, piciem, zdobywaniem, że ma dość swojego uzależnienia i wręcz go nienawidzi. To, co kiedyś sprawiało radość, po jakimś czasie

częstuje koszmarem. Jednak cholernie trudno skutecznie z tego wyjść. Niekiedy jest to niemożliwe.

Opowiem Wam, jak kiedyś próbowałem sam je odstawić. To najtrudniejszy do wyjścia lek – a właściwie narkotyk. Nawet z heroiny łatwiej wyjść. Z helupy można wyjść już po tygodniu, koszmar do pewnego momentu eskaluje, przychodzi punkt krytyczny i następnie każdego dnia jest lepiej.

Przy prochach jest inaczej. Koszmar ciągnie się tygodniami. To kumulacja lęków, zaburzenia synchronizacji, boli wszystko, nawet to, co nie ma prawa boleć. Bola włosy, bola kończyny, których nie ma i nigdy nie było, ból fantomowy wokół całego ciała. Potworny ból połączony ze skumulowanymi lękami zebranymi z całego życia. Receptory zostają pozbawione naturalnej ochrony, bo przez lata chronione były farmakologicznie. Tu nie ma punktu krytycznego, przesilenia, które by następnego dnia zaczęło poprawiać samopoczucie, dawać ulgę. To jest o tyle dziwne, że głód przechodzi nagle. Po kilku tygodniach znika. Owszem, jeszcze przez jakiś czas da się odczuć skutki, ale w porównaniu z tym, co było wcześniej, są one prawie niezauważalne.

Pamiętam, jak któregoś z tych właśnie dni walki z prochami, leżałem zwinięty w takim koszmarze, czekałem wieczora, nie wiem dlaczego czekałem do tego wieczora, bo i tak zwykle występuje wtedy bezsenność. Wmówienie sobie czekania jest też pewną formą obrony przed tym cierpieniem. Uczepiłem się nadziei, że wieczór przyniesie ulgę. Z ogromnym trudem odwróciłem głowę, by zobaczyć która godzina. Zegar pokazywał czternastą,. Ponownie zaległem trzęsąc się z zimna i jednocześnie dusząc z gorąca – fenomen znany jedynie nałogowcom: jednoczesne odczuwanie przeraźliwego zimna i nieznosnego gorąca. I nie mam na myśli zimnych potów, to zupełnie inne uczucie. Leżałem więc czekając tego wieczora, minęły może dwie lub trzy godziny, gdy znowu odwróciłem się, by sprawdzić ile do tego wieczora jeszcze zostało. Ledwo udało mi się podnieść głowę, by spojrzeć na zegarek – wciąż była

czternasta. Nie minęła nawet minuta. Trudno uwierzyć w taką pracę mózgu, w takie tempo. Byłem pewien, że minęło kilka godzin, a nie upłynęła nawet minuta. Benzodiazepiny to spowalniacze, pozbawiony ich mózg działał z prędkością światła. Tej farmakologicznej ochrony też go pozbawiłem. Jak długo trwała wtedy dla mnie doba dodając do tego bezsenność? Potraficie sobie to wyobrazić? Ten koszmar mija po dwóch, trzech, a czasami czterech tygodniach. Oczywiście, nie wytrzymałem. W końcu kupiłem klony i życie wróciło do normy, a ja poczułem się normalnie i nawet obiad zjadłem, a zegarek nabrał normalnego tempa.

Gdyby słynni z wymyślnych tortur Japończycy mieli czas na uzależnienie jeńców, z pewnością tego rodzaju tortura znalazłaby się w ich szerokim wachlarzu sprawiania bólu. Kilka sekund, podczas których w głowie upływa kilka godzin skumulowanych lęków, rozważań, paraliżującego strachu i obsesyjnych myśli.

W poprzednim odcinku obiecałem, że zdradzę wreszcie, czym przekonałem ordynatora, że po wyjściu ze szpitala nie zalegnę w powolnej agonii, odliczając czas do kolejnego przyćpania. Znaczoną część życia spędziłem w Kazimierzu Dolnym – to Mekka wszelkiej maści artystów, malarzy, rzeźbiarzy i twórców jakichkolwiek. Ponieważ urodziłem się i wychowywałem w Puławach, Kazimierz był moim drugim podwórkiem, tym bardziej, że ojciec jest malarzem i sprzedawał tam swoje prace. Trudno więc bywać w tym miasteczku i nie pomazać się farbą. Dosłownie i metaforycznie. Miejsce to zaraża sztuką, a gdy przestanie, to mieszkańcy wystawią czwarty krzyż na Górze Trzech Krzyży. Trzy pierwsze postawiono po epidemii cholery w 1708 roku. Czwarty upamiętniający epidemię sztuki jeszcze nie powstał.

Gdy siedziałem kiedyś na Rynku, zaczepił mnie jakiś turysta. Zapytał co symbolizują te krzyże, bo przyjechali grupą, a jemu nie chce się iść na górę żeby przeczytać. Żeby więc wyjść z twarzą przed znajomymi postanowił zapytać miejscowego o co w tym chodzi. To było kilkanaście lat temu, gdy jeszcze nie było

smart fonów i nie mógł wygugłować. Internetu na zwołanie też nie było.

Odpowiedziałem mu, by jednak wszedł na górę i przeczytał, że są tam tabliczki i wszystkiego się dowie. Był bardzo nachalny, więc postanowiłem opowiedzieć mu historię Góry Trzech Krzyży.

Kupił po butelce piwa, siedliśmy na rynkowym murku naprzeciwko omawianej góry. Z poważną miną zacząłem od panującego niegdyś i bardzo powszechnego analfabetyzmu. W wiekach średnich niewielu poznało sztukę rozpoznawania liter, a ponieważ Kazimierz był bardzo ważnym miastem tranzytowym „bursztynowego szlaku”, na rynku urzędowali rejenci, kupcy, spedytorzy i cała masa handlowców. Spisywano tam wszelkie umowy. Jeśli kupiec zawierał umowę z drugim kupcem, czy wynajmowali spedytora, by Wisłą spławił towar do Warszawy lub Gdańska, wstępnie szczegóły omawiali w pobliskim wyszynku. Obaj jednak najczęściej byli niepiśmienni, więc po wstępnych ustaleniach szli do specjalnego kramu rejenta, który taką umowę im przygotowywał. Wymagała ona jednak podpisu stron, podpis miał określony wzorzec – trzech krzyżyków. To także niektórym, zwłaszcza tym, którzy pióro trzymali w ręku raz na kilka lat, sprawiało problem. Żeby ułatwić formalności i by nie dochodziło do nieporozumień włodarze grodu postanowili ustawić obowiązujący wzór w punkcie widocznym z każdego miejsca rynku, a właściwie prawie całego Kazimierza. Najbardziej widoczne było właśnie to wzgórze. Od tego czasu kupcy, rejenci i spedytorzy mieli ułatwione zadanie, nikt nie mógł się wyłgać, że podpis jest nieważny, bo krzyżyki źle zakreślono.

– Oto historia Góry Trzech Krzyży – zakończyłem opowieść turyście, który uwierzył, bo szczerze mi podziękował częstując kolejną butelką piwa. A ja byłem zdumiony, że w tak szybkim tempie wymyśliłem tak absurdalną historyjkę i bez zająknięcia oraz błędów logicznych udało mi się dosyć ciekawie ją opowiedzieć, ku uciesze turysty, ale mojej znacznie większej. Zastanawiałem się nad miną jego towarzyszy gdy powtórzy im tę historię.

Wracając jednak do mojego zajęcia – postanowiłem robić to, co robiłem, gdy wróciłem z wojny w byłej Jugosławii. Zająłem się handlem sztuką. Wtedy było łatwiej, bo zaczynałem latem i mogłem rozstawić się z obrazami i rzeźbami na Dużym Rynku. W tamtych czasach obrazy sprzedawały się na tyle dobrze, że wynająłem lokal i otworzyłem galerię. Teraz prowadzi ją znacznie lepszy malarz ode mnie – czyli mój ojciec. Postanowiłem jednak pomóc mu w prowadzeniu galerii i jeździmy tam zamiennie. A ja obok komputera postawiłem sztalugi, by znowu zacząć malować. To jak z jazdą na rowerze. Tego się nie zapomina.

Autorstwo: Piotr Jastrzębski

Źródło: Trybuna.info